

A szkoda, bo apetyt miałam duży. Jest przecież „Makbet” jedną z najgłębszych psychologicznie tragedii Szekspira, tragedii wszechczasów – zgodzą się ze mną co do tego chyba wszyscy, ale jest też „Makbet” pułapką nawet dla najwytrawniejszych.



Jacek Mąka
w roli Makbeta

Euforii nie będzie...

„Makbet” fascynuje, „Makbet” kusi. Jak zło, którego istnienie jest oczywistym stwierdzeniem. Nie bez powodu pewnie pokutuje w angielskich teatrach przesąd tej właśnie tragedii dotyczący. Tam mówi się o niej po prostu *The Play – Sztuka*. Termin zastępczy, by zła nie kusić, nie wywoływać z imienia. I boją się grać go aktorzy.

W teatrze polskim, gdzie Szekspir stał się zjawiskiem absolutnie szczególnym — do tego stopnia, że zaden z klasyków dramaturgii narodowej nie był i pewnie nie będzie tak często i rozmaicie grywany – też „Makbeta” jakby najmniej. Pominąć go jednak nie wolno, uniknąć nie sposób, więc porwijają się na niego reży-

serzy od czasu do czasu. Ci najodważniejsi.

W Jacku Andruckim – reżyserze płockiej wersji dramatu Szekspira – dojrzał „Makbet” lat chyba... naście. Jest ambitny. Jest przemyślany. Od początku do końca. I konsekwentny. Przede wszystkim odzegał się reżyser od typowo polskiego, dziewiętnastowiecznego kanonu grania Szekspira. Jego spektakl nie ma nic wspólnego z tradycją *The Globe*. Rzecz w jego wersji może dziać się tu – tam – i wszędzie, wczoraj – dziś – i jutro. Bo przecież „Makbet” dotyka uniwersalnej bolączki i słabości człowieka, jaka nęka go niezależnie od czasu i miejsca urodzenia. Bo mówi o tragedii ambicji i strachu, które aktualne zostaną po sam kres ludzkości. Jakże aktualne są dzisiaj, na progu nowego tysiąclecia, gdy tyłu z nas pogubiło się w wartościach, zatraciło instynkt, ogłuchło na odwieczne przestrogi. Tym bardziej uznał więc Andrucki za stosowne przemówienie do dzisiejszego widza językiem bardziej zrozumiałym. Pięknym, zachowującym całą szekspirowską poezję, ale też i prostym, dosadnym. Wybrał przekład Krystyny Berwińskiej, jako najbardziej trafny. I rzeczywiście – w jego koncepcji przedstawienia ten sprawdza się bardzo dobrze. Kolejnym trafnym krokiem był wybór scenografa. Bogusław Cichocki intencje Andruckiego odczytał doskonale – w końcu obaj panowie pracowali już razem wielokrotnie. Jego wizja scenograficzna dokładnie pokrywa się z koncepcją reżyserską. Jest na wskroś nowoczesna, uniwersalna i oszczędna. Nie roni przy tym żadnego znaku, żadnego symbolu niezbędnego do właściwego odczytania najgłębszych i najbardziej zawilich treści. Podkreśla w spektaklu czystość rysunku i sytuacji całej tragedii. Pozwala rozwinąć się dobrem pomysłem i rozwiązaniem reżyserskim, jak też wyraziście i płynnie ustawionemu ruchowi scenicznemu autorstwa **Przemysława Śliwy**. Dzieło wieńczy naprawdę

znakomicie dobrana muzyka. Dlaczego więc euforii nie będzie? Ano po pierwsze – spektakl nie ma tego tempa, które nadałoby mu właściwy nerw i rozedrganie. Nie ewoluuje, nie narasta w nim napięcie. Toczy się po równej linii emocji i – niestety – za długo. To ostatnie zwłaszcza pogrzebie go w oczach codziennego widza, jakim jest młodzież szkolna. Nie skupiona i niecierpliwa. Mam jednak nadzieję, że ze spektaklu na spektakl, gdy aktorzy okrzepną już w swych rolach, tempo to choć trochę wzrośnie. Po drugie – o czym pisać mi najbardziej przykro i niezręcznie – z powodu kilku ewidentnych pomyłek obsadowych. By grać Szekspira, zespół trzeba mieć wyjątkowo mocny, artystycznie doświadczony i dojrzały. Bo mało co tak, jak klasyka ułomności aktorskie obnaża. A klasyka tego gatunku, Szekspir zaś w szczególności, potrafi być dla aktora wyjątkowo okrutna, czasem wręcz zabójcza. Zwłaszcza, gdy niektórym brakuje pokory i samoświadomości scenicznej, a reżyser, nie bacząc na obiektywne możliwości zespołu, sztukę bardzo chce zrealizować i zapomina, jak łatwo złym obsadzeniem uczynić aktorowi i przedstawieniu krzywdę. To też za błędy i skutki na tym polu winę rozkładam na dwie strony. Przykładów z nazwiska i roli nie będzie. Z zasady bowiem spektakl oglądam dwukrotnie.

Tym razem przyszło mi wrażenia swoje spisać na gorąco, tuż po premierze, gdy jeszcze sama nie wyzwoliłam się z emocji. A nie jest moim zamysłem czynienie komukolwiek pochopnych przykrości. W końcu wreszcie aktorstwo sztuką jest tak niewymierną, że to co u mnie aprobaty dziś nie znajduje, innego widza i recenzenta zachwycić może. Ja zaś wierzę, że przy następnej realizacji wnioski dla siebie wyciągną wszyscy i oczywistych błędów uda się uniknąć. Dla wspólnego zespołu, teatru i widza dobra.

Ewa Lilianna MATUSIAK
Fot. Waldemar Lawendowski